

W TATRACH

TEKST: Michał Jagiełło
ZDJĘCIA: Andrzej Marasek

KIEDY GÓRY ZAPŁACZA



MICHAŁ JAGIEŁŁO

Ur. 23 VIII 1941 r. w Janikowicach (obecnie woj. małopolskie), pisarz i publicysta, alpinista; wspinaczki w Tatrach, Alpach, Kaukazie, Pamirze, górach Turcji; ratownik GOPR i TOPR, 1972–1974 naczelnik Grupy Tatrzańskiej GOPR. Opowiadania i powieści o współczesnej tematyce psychologiczno-obyczajowej (*Hotel klasy lux*, 1978; *Bez oddechu*, 1981; *Studnia*, 1985), których tłem jest najczęściej górski krajobraz (*Obsesja i inne góry*, 1994; *Trójkątna turnia*, 1996; *Za granicą gran*, 1998; *Jawnie i skrycie*, 2000); publicystyka górską, m.in. książki o ratownictwie tatrzańskim; *Wołanie w górach*, 1979 (wyd. 6, 2002); *Galązka kosodrzewiny*, 2000; współautor pracy *Tatry w poezji i sztuce polskiej*, 1975.

Naczelnik Jan Krzysztof ogłasza alarm: kto może, niech zwija się w Centrali w Zakopanem! Z Pięciu Stawów wyrusza patrol w składzie; Stanisław Krzeptowski Sa-



Bartek Olszański



Marek „Maja” Łabunowicz

bała i Jarosław Lech. Z Kasprowego zjeżdżają młodzi i sprawni ratownicy – mogą się przydać w akcji na lawinisku. Zostaje nas trzech, bo ktoś przecież musi pełnić dyżur.

Pogoda uniemożliwia użycie śmigłowca, więc Janek z pierwszym rzutem ratowników jedzie samochodami do Wodogrzmotów. Dalej Roztoką trzeba brnąć we wciąż padającym śniegu.

O 14.45 patrol z Pięciu odszukał mężczyznę w zwałach lawiniska. Nie żyje. O 15.30 odnaleziono martwą kobietę.

Zjeżdżam we mgle i kurniawie przez Goryczkową. Martwię się o Staszka, który jest tam, w Kociołku, czuwający przy zwłokach. Poznałem go bliżej dosłownie przedwczoraj. Dyżurował wraz z Bartkiem Olszańskim na Gubałówce. Wciągałem ich obu na opowieści o wyprawach, w których brali udział; przygotowywałem właśnie szóste wydanie „Wołania w górach” i złakniony byłem szczegółów ratowniczej roboty, tym bardziej że wydobywałem je od inteligentnych młodych kolegów, łączących



Dolina Pięciu Stawów Polskich, z prawej Szpiglasowa Przełęcz

Rok 2001 miał się ku końcowi. Jest 30 grudnia. Na Kasprowym Wierchu zamieć. Chronię się w dyżurce TOPR. Tuż po 13.00 słyszymy w radiotelefonie, że coś dzieje się pod Szpiglasową Przełęczą od strony Pięciu Stawów. Za chwilę wiemy trochę więcej: trójka turystów, nie zważając na III stopień zagrożenia lawinowego (w pięciostopniowej rosnącej skali), wyszła ze schroniska w Pięciu Stawach ku wyniosłej Szpiglasowej Przełęcz. Około południa, gdy byli w Kociołku pod przełęczą, zesłała lawina. Jeden z turystów wydostał się z lawiniska i dotarł do schroniska.

pasje z kontynuowaniem nauki w szkołach wyższych.

W Centrali przejrzałem listę uczestników wyprawy: sami znajomi – od najstarszych po młodzież. Coraz bardziej niepokoiłem się o Staszka i jego partnera. Przecież nie mogą godzinami tkwić na lawinisku, powinni zejść do schroniska – żywi. Co robi Janek? Co ja bym zrobił, gdybym był na jego miejscu? Pewno szedłbym w górę. Po ciała dwojga turystów. Po to, aby Staszek i Jarek mogli wreszcie napić się gorącej herbaty.

Posłuchajmy Adama Maraska, który stara się utrzymać w roli chłodnego kronikarza, ale ja przecież wiem, że Adam był wtedy tam, na tej dramatycznej wyprawie.

Z Pięciu Stawów w kierunku Szpiglasowej Przełęcz wyruszyła 8-osobowa grupa ratowników, pozostali ratownicy wyszli w kierunku lawiniska kilkanaście minut później. Warunki zaczęły się bardzo pogarszać. Padał śnieg, wiał silny wiatr, była mgła ograniczająca widoczność, zapadał zmrok. Ratownicy, brnąc w śniegu, zbliżali się do lawiniska. O godzinie 17.00,

kiedy ratownicy; Jan Krzysztof, Maciej Cukier, Grzegorz Bargiel, Henryk Król Łęgowski, Edward Lichota, Andrzej Lejczak, Bartłomiej Olszański, Marek Łabunowicz już prawie dochodzili na próg Kociołka pod Szpiglasową, nagle pękł nad nimi śnieg. Ruszyła lawina, która zabrała ich w dół i prawie wszystkich zasypała. Na szczęście, niektórym udało się wygrzebać spod śniegu głowy i ręce, co pozwoliło im na dalsze odkopywanie. Pierwsi uwolnili się Edward Lichota i Jan Krzysztof, i zaczęli odkopywać po kolei pozostałych kolegów, odgarniając śnieg na tyle, by ci dalej sami mogli się odkopywać. Nie można było odnaleźć tylko Bartłomieja Olszańskiego i Marka Łabunowicza. W ruch poszły pipsy (elektroniczne urządzenie sygnalizacyjne – M.J.). Po chwili udało się namierzyć, a później wysondować zasypanych kolegów. Byli pod 2-metrową warstwą śniegu. Po odkopaniu zaczęto reanimację. W tym momencie na miejsce wypadku dotarła druga grupa ratowników, którzy przejęli czynności reanimacyjne.

W tym czasie, w Centrali, w Zakopanem zebrała się kolejna duża grupa ratowników. Sa-

mochodami i skuterami została ona przewieziona do Pięciu Stawów. Reanimacja kolegów nie przynosiła rezultatu. Kolejne tąpnięcie śniegu i zejście w pobliżu kolejnej lawiny nakazały szybki odwrót z tego miejsca. Transportując w dół swoich kolegów, ratownicy cały czas prowadzili reanimację. Na Wielkim Stawie spotkali się z kolejną grupą ratowników. Znajdujący się w niej lekarze przejęli reanimację, którą prowadzono dalej, po dotarciu do schroniska, już z wykorzystaniem dostępnej aparatury i odpowiednich leków. Niestety, nie przyniosła rezultatu. W czasie akcji ratunkowej śmierć ponieśli ratownicy: Bartłomiej Olszański i Marek Łabunowicz „Maja”.

Jan Krzysztof w opisie wypadku napisał: Pomimo stwierdzenia zgonu zasypanych turystów nie podjąłem decyzji o przerwaniu akcji, uznając, że warunki pozwalają na jej kontynuowanie. Wydawało się, że wybieramy optymalną drogę podejścia w celu dotarcia do ciał i oczekujących na nas S. Krzeptowskiego i J. Lecha. Zdaję sobie w pełni sprawę i ponoszę pełną odpowiedzialność za skutki moich decyzji.



Widok z Przełęczy Krzyżne. Z lewej Tatr Bielskie, w centrum Tatr Wysokie z Lodowym Szczytem

Bartłomiej i Marek zostali pochowani z ratowniczymi honorami. Ciała Moniki K., lat 22 i Michała B., lat 27 zwieziono z gór 4 stycznia 2002 r. Zginęło czworo młodych. Czy to wszystko musiało się zdarzyć? Nie, tu nie było żadnego fatalizmu. Turyści popełnili błąd, wybierając trasę swej wędrowki. Zlekceważyli ostrzeżenia przed lawinami. Natomiast kierujący akcją ratunkową miał do wyboru: czekać w schronisku na bezpieczny powrót Staszka i Jarosława albo pójść w górę. Pytany przez dziennikarzy o moją opinię w tej trudnej sprawie odpowiadałem, ważąc słowa:

PO PIERWSZE – należy unikać formułowania kategori-
cznych ocen wydarzeń rozgrywających się w górach, w trudnych
warunkach pogodowych, z pozycji obserwatora nieuczestniczą-
cego bezpośrednio w akcji;

PO DRUGIE – nie da się wyeliminować ryzyka z działalności
ratowniczej w wysokich górach;

PO TRZECIE – rozpatrując problem teoretycznie – nawet
jeśli kierujący akcją popełnił błąd jakiegoś rodzaju nadgorliwości,
nie powinien być za to potępiany,

PO CZWARTE – stawianie pod pręgierzem za ewentualny
błąd nadgorliwości może mieć groźne społeczne następstwa:
ktoś inny, stanąwszy wobec niejednoznacznego wyboru, może
wybrać opcję nadmiernie zachowawczą, ocierającą się o błąd
zaniechania działań w terenie.

Ratownika dyskwalifikują dwie krańcowo różne przypadłości:
z jednej strony ryzykanctwo, zaś z drugiej przesadna lęklivość.
Wszystko, co pożądane – mieści się między tymi biegunami; przy
czym, im bliżej „złotego środka”, tym lepiej: dla ratowanych i samych
ratowników. To oczywiste, że czasem trzeba zaryzykować, rzecz
w tym, aby nie pójść **za daleko**. Ale co to właściwie znaczy: nie
posunąć się za daleko! Góry, zima, noc, zawieja – to zmienne tak dy-
namiczne, że nie ma ludzkiej inteligencji, która mogłaby wyznaczyć
optymalny sposób postępowania w danej sytuacji. A przecież i owa
sytuacja jest w ruchu. Ktoś przejdzie stromy stok przy III stopniu za-
grożenia lawinowego, ktoś inny zostanie pogrzebany już przy I stop-
niu. Każdy, kto choć trochę zna góry, zdaje sobie sprawę z **niejed-
noznaczności** ocen; iść w górę, czy zrezygnować. Tu rzadko kiedy
sytuacja pozwala na luksus jasnego wyboru. Szczególnie dotyczy to
ratowników. Turysta, narciarz, alpinista może zdać się na rozwój wy-
darzeń, na przykład na pogodę. Jeśli leje deszcz lub szaleje zawieja,
jeśli mgła ogranicza widoczność, jeśli nadchodzi noc – to decyzja
jest banalnie łatwa: zostać w schronisku, wycofać się z trasy, umykać
w dolinę ku ludziom. Natomiast ratownik ma swoisty przywilej dzia-
łania niemal w każdych warunkach. A to bywa niebezpieczne.

Zginęli młodzi ludzie. Ich rodziny zostały ze swoim smutkiem
i cierpieniem. Zginęli dwaj ratownicy. Ponieważ znałem ich obu,
śmierć odebrałem głęboko. Marek grał jeszcze w góralskiej kapeli
na otwarciu wystawy „Błękitny Krzyż, czyli ratownictwo tatrzańskie

w piśmiennictwie polskim” zorganizowanej przez Bibliotekę Naro-
dową i TOPR. Z Bartkiem byłem umówiony na noworoczny obiad
w Zakopanem. Wciąż dźwięczała mi Markowa muzyka, powracały
do mnie opowieści Bartka o wyprawach, w których uczestniczył,
o śmierci dziewczyny i chłopca w masywie Giewontu. Oddając do
druku szóste wydanie „Wołania w górach”, nie stać mnie było na

techniczny opis tragedii pod Szpiglasową. Chciałem jednak dać wy-
raz tej swojej bezradności i buntu, i dlatego odważyłem się na taką
nietypową wypowiedź, na wiersz zatytułowany „Pożegnanie”. ▲

Na postawie „Wołanie w górach” – Michał Jagiełło

*A. Marasek, *Kronika ratownicza TOPR w 2001 roku*, „Wierchy” 2001.

POŻEGNANIE

Alarm.
Klekocze Sokół
Tu! W ścianie. W skalnym kociołku.
Są!
Maszyna drży w zawisie,
na linach zjeżdżają ratownicy.
W skalnej niecce porośniętej bujną roślinnością
pleniącą się na wapieniu
- chłopak i dziewczyna.
Spleceni.
Jakby, spadając, trzymali się za ręce.

Pomylili drogę.
Zaczęli schodzić z wierzchołka wspinaczkową
zachodnią granią
i spadli.
Jak to się stało, że są razem,
nieomal wtuleni w siebie?
Tylko traf zdarzył, że zatrzymali się
tu, w środku ściany, że nie spadli
niżej.

Nie można było ich rozdzielić.
Ułożyliśmy ciała w siatce,
i na „długiej linii”, pod brzuchem Sokoła,
do kostnicy.
Mieli po siedemnaście lat – mówi Bartek.

Jest słoneczny, zimowy dzień;
pijemy grzane piwo z sokiem,
mając przed sobą masyw Giewontu.

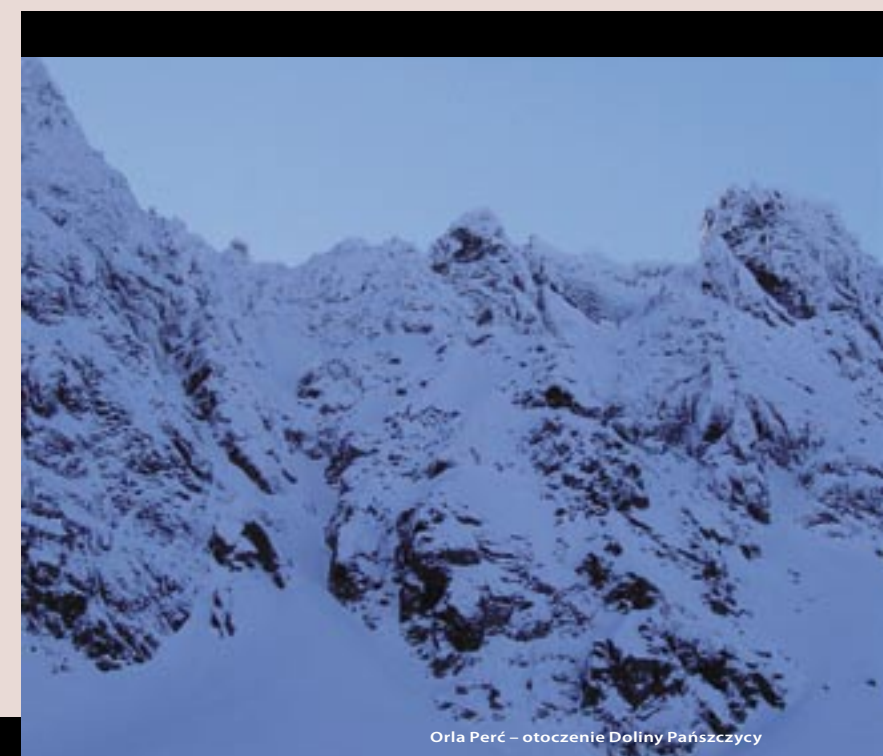
Wiem, wiem, wiem.
Mamy jako ludzie wolną wolę,
decydujemy – w zasadzie – o naszych wyborach.
Ale gdzie jest Bóg,
którego dziećmi ponoć jesteśmy!
Dlaczego milczał, gdy tych dwoje, dzieci przecież,
skierowało się ku śmierci?
Gdzie był?

Bartek – z uśmiechem – rozkłada ręce,
jakby dziwił się pytaniom siwego.
Marek – z zamkniętymi oczami – gra góralską muzykę
na melodię: Cicho, stary, nie chciej za dużo.

Dlaczego na to pozwoliłeś?
– jeśli w ogóle jesteś.
A jeśli jesteś, ale po ludzku czasem
bezradny – czy zapłakałeś?

Milczysz. To Twoja stała metoda.
Co masz na swoje usprawiedliwienie?
Noc, mgłę, trzeci stopień zagrożenia lawinowego
– powiadasz.
Mówisz – ledwo zrozumiałe – o wolnej woli,
przypominasz – mało taktownie – o ratowniczym przyrzeczeniu.
Lepiej już milcz.

Bartek i Marek szli po inną parę,
która lodowaciała w zastygłej lawinie.
Jęknął stok,
stęknęły góry,
pękła pościel śniegu.
Śpią. Tacy młodzi.
Nic nie mów.
Widzę Marka zasłuchanego w swoją muzykę gór,
widzę Bartka opowiadającego o niecce
tonącej w bujnej roślinności.



Orla Perć – otoczenie Doliny Pańszczycy